

# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



## PTAK KRAWIEC INDYJSKI.

Nazwa tego ptaszka pochodzi od szczególnego gniazdka, które przedstawia nasza rycina. Dawniej już kiedyś wspominaliśmy o krawcu indyjskim, opisując gniazdko europejskiego jego krewniaka. Przemysłna ta ptaszyna nietylko gniazdko zeszywa z dużego liścia, lub z dwóch mniejszych, ale sama sobie przędzie stosowną do tego nitczkę z bawełny. Naukowa nazwa krawca indyjskiego jest *orthotomus longicauda*, co znaczy długi ogonek, a jak widzicie na rysunku, ptaszek zasługuje na tę nazwę. Upierzenie jego nie jest bardzo świetne, żółto-zielonkawe na grzbiecie, czerwone na szyjce, a na brzuszku i piersiach białe.

## OLSZTYN.

OBRAZEK DRAMATYCZNY W DWÓCH AKTACH.  
przez Sewerynę Duchnicką.

### OSOBY.

STAROŚCINA Olsztyńska, Ligezina, wdowa po staroście.  
CHORAŻY Ligeza, krewny nieboszczyka starosty.  
WOJSKI Wieluński, krewny starościny.  
ZOFIA Tarłówna, wychowanka starościny, bratanka Wojskiego.  
JANUSZ Gozdawa, towarzysz pancernego znaku.  
CIMIELEWSKI.  
BYLINA.  
SKARBNIK.  
Domownicy. — Pacholki.

*Rzecz dzieje się w Olsztynie, w wigilią Bożego Narodzenia 1655.*

### AKT PIERWSZY.

*Teatr przedstawia sklepioną salę w zamku Olsztyńskim. Okna wychodzą w stronę Częstochowy. Starościna haftuje w krosnach. Wojski nieopodal siedzi przy kominie smutno, z pochyloną głową. Rótmistrz przechadza się po komnacie, i raz poraz spogląda w okno.*

### Scena I.

CHORAŻY (*wskazując ku oknu*).

Mrok już zapada.

STAROŚCINA (*kładzie igłę i spogląda na zegar*).

Już dawno po trzeci, już dawno po trzeci,

Owa nam gwiazda nie długo zaświeci,  
Co wiodła niegdyś króle i pasterze  
W bramy Betleem...

CHORAŻY.

Tak, siostró, ja wierzę,  
Iż nam pociecha w jej promieniach spłynie,  
I jako w Judzkiej przed wieki krainie,

Chórem aniołów rozgrzmi Polska cała:  
„Chwała w Niebiesiech i na ziemi chwała!“

STAROŚCINA (*smutno*).

„Chwała na ziemi ludziom dobrej woli.“  
Tak brzmiały pienia! Oj serceż mnie boli,  
Skoro pomyślę, że na własną głowę,  
Naród sam klęski zgarnia coraz nowe.  
Bo mówże, bracie: któż sprawcą tej biedy?  
Kto nam z za morza naprowadził Szwedy?  
Kto ciągnie szlachtę pod znaki Gustawa?

CHORAŻY.

Tak, pani siostró, wiarołomcy sprawa  
Wepchnęła naród w ten odmęt niedoli;  
Lecz mrok obłędu już pierzcha powoli:  
Sam Gustaw szlachcie zdarł z oczu zasłonę,  
Gdy w Sandomierzu przyrzekła koronę  
Oddać mu z berłem, lecz na mocy prawa.  
I jakaż była odpowiedź Gustawa?  
Ot, szcześnie szablą, i spienion od złości:  
„Drwię sobie, rzecze, z wyborów waszmości,  
Dzięki jej ostrzu, jam na majestacie  
Bez waszjej łaski!“

STAROŚCINA.

Bóg skarał ich, bracie:

Wolnoż im ściągać bez Boskiej obrazy,  
Koronę z głowy Kazimierza Wazy?  
Wytrącać berło z pomazańca dłoni?  
Przed sądem Pańskim nikt się nie uchroni.  
A Bóg miecz w górę zamierzony trzyma  
Na karki grzesznych.

WOJSKI.

O! czemuż tu niema

Króla, a pana pod sztandary swemi,  
Gdy Szwed wzdłuż polskiej gospodarzy ziemi,  
Od stromych Karpat po Bałtyku fale,  
Biada nam ciężka!

CHORAŻY (*wskazując w okno*).

Tam, na onęj skale,

Pan spełni wyrok nad Piastów koroną:  
Albo ją gruzy tych wieżyc pochłona,  
Lub ją u Syna, zrodzonego w żłobie.  
Bogarodzica wybląga w tej dobie.

WOJSKI.

Żadnej dziś wieści nie mamy od rana,  
Działa umilkły, cisza nieprzerwana:  
Co to się znaczy?

STAROŚCINA.

Źle, bracie, źle wróży

Ta głucha cisza! kiedy podczas burzy,  
Gdy wkoło chmurno, grzmot umilknie nagle,  
I rozkiełznany wiatr pozwija żagle,  
Niewczesna radość!... O! to znak widomy,  
Bóg w niebie nowe przysposabia gromy.

CHORAŻY.

Wysłałem podjazd, powróci za chwilę,

Wnet się o Szweda przekonamy sile,  
Janusz obliczy pod mroku zasłoną,  
Te srogie działa, co o nich prawiono,  
Że w pomoc Szwedom ściągnęli od Krakowa.

STAROŚCINA.

Drzę cała z trwogi! biedna Częstochowa!  
Ten gród przesławny, gdzie z górą trzy wieki,  
Lud wierny zdąża przez pola i rzeki,  
Z szczerą ufnością, jak rój pszczoł do ula,  
Gdzie Marya wszystkich, od kmiotka do króla,  
Tuli na łonie i do serca bierze  
Czyste modlitwy składane w ofierze;  
Zkąd łyży, jak rośnię, zanośi do nieba,  
I w zamian daje: głodnemu kęs chleba,  
Zdrowie kalece, smutnemu nadzieję.  
Gród ten cudowny! O! cała truchleję,  
Maż się zamienić w popiół i zwaliska?

CHORAŻY (*wskazując w okno*).

Widzę na wieży kaganiec połyska.

STAROŚCINA (*smutno*).

Może ostatni!

CHORAŻY (*przystuchując się*).

Zabrzękły łańcuchy,

Most opuszczają; słyhać tentent głuchy;  
Snać Janusz wraca.

(*Daje się słyszeć odgłos trąbki*).

STAROŚCINA.

Jakież wieści? Boże!

ROTMISTRZ.

Pójdę na zwiady.

## Scena II.

CIŻ SAMI, ZOFIA.

ZOFIA (*wbiegając z poblizkiej komnaty*).

I któż to być może?

(*na stronie*).

O! gdyby Zbigniew!

STAROŚCINA (*do Zofii*).

Janusz, moje dziecie,

Wraca z wycieczki; posłyszymy przecie,  
Jakie w obozie Szwed plany układa.

(*Przypatruje się Zofii*).

Co tobie, Zosiu? całaś drżąca, blada;  
Siądźże tu przy mnie: zkąd ci taka trwoga?

ZOFIA (*słabym głosem*).

Jak się nie trwożyć?

STAROŚCINA (*wskazując ręką w górę*).

Wszystko w rękę Boga!

## Scena III.

CIŻ SAMI; wchodzi ROTMISTRZ z JANUSZEM za nimi  
SKARBNIK, przebrany za żebraka.

ROTMISTRZ (*uderzając Janusza po ramię*).

Zuch z ciebie, chłopcze: sprawił się aż miło!

STAROŚCINA.

I cóż nam powiesz?

JANUSZ (*żywo*).

Jutro wielką siłą

Na Jasną Górę Szwed rankiem uderzy;  
Pełno w obozie haubic i moździerzy,  
Krakowskie działa przybyły o świcie.  
Pod mgły osłoną przedarłem się skrycie  
W sam obóz Szweda; koń został mój blisko,  
Jam się zachołgał, jak wąż, pod ognisko,  
Co je pod szańcem rozłożyły stfaże.  
Jaskrawy płomień buchał na ich twarze,  
Ja byłem w cieniu, rozumiałem mowę,  
Bo straż trzymały Czechy Wajhardowe.  
Na list przeora, Müller, rzekli oni,  
Przyrzekł na dobę zawieszenie broni,  
By uczcić w żłobku zrodzonego Boga;  
Więc gdy o świcie pobożna załoga,  
Na hasło dzwonu, z Jasnogórskiej wieży,  
Pieśń Betleemskich zaśpiewa pasterzy,  
Wraz przed cudownym schyłona obrazem,  
Działa z nienacka zagrzmią ognia razem,  
I Szwed wśród huku i strasznej pożogi,  
Garstkę zuchwalców wytępi do nogi.

ZOFIA

Boże!

STAROŚCINA.

Drzę cała!

WOJSKI.

Srogi wyrok nieba!

CHORAŻY.

Co rychlój zdradę uprzędzićby trzeba.  
Już noc zapada, mgły ziemię przyćmiły:  
Dalej, Januszu, ile tchu i siły,  
Ze straszną wieścią biegnij do przeora;  
Dziś, gdy o zdradzie dowie się z wieczora,  
Niech porozstawia w koło zbrojne straże.

JANUSZ (*z zapalem*).

Biegnę! wszak życie za plewę ja ważę,  
Skoro powinność spełnić mi wypada.  
*(Zebrek, który dotąd stał w cieniu, występuje na-  
przód sceny i wstrzymuje Janusza).*

Zaczekaj chwilę! wiadoma już zdrada!

STAROŚCINA (*przypatrując się zebrowi*)

Co widzę, Skarbnik!

JANUSZ.

On sam.

WOJSKI.

Być może?

CHORAŻY.

Zkądże waść tutaj, i w takim przyborze?

SKARBNIK.

Przybywam, bracie, co tchu z Częstochowy,  
Już do odporu nasz hufiec gotowy;

Wiemy o wszystkiém. Gdy o brzasku zorzy  
Szwed wiarołomca pogwałci dzień Boży,  
Chrztem go ognistym przyjmą nasze działa.  
Dziś o północy załoga się cała  
Na Mszę pasterską zgromadzi w kaplicy,  
I przed obliczém téj Bogarodzicy,  
Co łaski siłą jedna ziemię z niebem,  
Mężę anielskim posileni chlebem,  
Mocą olbrzymią opaszą ramiona;  
O! już ich oręż szwedzki nie pokona!  
Królowa gród swój od zguby ustrzeże,  
Płaszczem opieki osłoni te wieże;  
One nie runą, gdy wśród krwawej bitwy  
Z przybytku w niebo wzleci głos modlitwy;  
Szwed świętokradca przy Chrystusa żłobie  
Powróż na szyję sam ukręci sobie!

STAROŚCINA.

Niech się nad nami spełni wyrok Pana;  
Lecz zkąd waść tutaj?

SKARBNIK.

Wykradłem się z rana  
Z okopów twierdzy, i przez szwedzkie czaty  
Szedłem bezpieczny pod tarczą méj szaty,  
A skorom podjazd napotkał Janusza,  
Z nim się złączyłem.

CHORAŻY.

A gdzie to waść rusza?

SKARBNIK.

Do Czarnieckiego biegnę ptaka lotem,  
Za dobę stanę przed wodza namiotem;  
Niech całą siłą na Szweda uderza.

STAROŚCINA.

Do Czarnieckiego?

SKARBNIK.

Tak jest, do Siewierza

Dążę z listami, własném związany słowem,  
(Co Szwed przemocą wymógł pod Krakowem),  
Z boleścią w duszy wódz nasz chwili czeka,  
Jak hystry orzeł pogląda z daleka,  
Czy jeszcze nasza nie zamierzchła gwiazda;  
I wnet jak orzeł uleci on z gniazda!  
Już kres dobiega zawieszenia broni,  
Roty pancerne zerwą się do koni,  
I dzielny zastęp wnet Szweda oskoczy.

STAROŚCINA.

Nim słońce wejdzie, rosa wyje oczy!  
Gdy Częstochowa wpadnie w ręce wroga,  
Biada nam wszystkim! Czyż nasza załoga  
Zdoła powstrzymać najezdnicę siłę?  
Bracia! wykopmy zawczasu mogiłę,  
Gdy naród cały w łzach i we krwi broczy,  
Niech gród Olsztyna przysypie nam oczy!

CHORAŻY.

O! pani siostró, nie słabnij na duchu.

STAROŚCINA (*wskazując na Janusza*).

I cóż nam wróżyć z owego posłuchu?

Już się dopełnia kres naszój boleści.

CHORAŻY (*wskazując na Skarbnika*).

Słuchajmy lepiej z Jasnej Góry wieści:

Mówże Skarbniku.

SKARBNIK.

Ufajcież, na Boga!

W sercu przeora nie powstała trwoga;

Duch jego płonie ogniskiem niezgasłym,

Wiara mu tarczą, a Marya hasłem!

STAROŚCINA.

Miecznik Zamoyski czy zawsze hetmani?

SKARBNIK.

U nas hetmanką Jasnogórska Pani,

A Miecznik tylko rej wodzi w drużynie;

(Gdyby nie Marya, jużby w tój godzinie

Wiatr pogwizdywał po gruzach klasztoru;

Ależ ta Pani z niebieskiego dworu

Zstępuje rada w promieniach swój chwały.

Nieraz w poranku, gdy działa zagrzmiały,

Widzieli nasi, jak w błękit odziana

Stała na wałach Rodzicielka Pana;

A skoro ziemię tknęły stopy święte,

Odkakiwały kule, jak zakłète,

I wstecznym biegiem w znak kary widomy,

Na obóz Szweda spadały, jak gromy.

Czasami obłok bieluchny roztoczy

Nad świętym grodem, a Szwed wlepia oczy,

I nie świadomy, gdzie celować strzały,

Od wałów twierdzy odbiega struchlały.

ROTMISTRZ.

Chwała Ci, Pani, Ty tarczą opieki

Lud swój od zguby ocalisz.

SKARBNIK.

Na wieki!

STAROŚCINA.

Moc Twojój łaski, jak nam serca wzrusza!

SKARBNIK.

Pomnę niedawno, górników z Olkusza

Przygnali Szwedy: aż mury zadrgały,

Kiedy poczęli kować wnętrze skały;

Już się jak krety wryli w głąb opoki,

By gród wysadzić prochem pod obłoki;

Owóz ta Pani, co w ludzką myśl wnika,

Zesłała z niebios Pawła pustelnika.

Stu-letni dziadek, z siwą po pas brodą,

Między gawiedzią pojawił się młoda:

„Dość chłopcy, rzecze, bezbożnej roboty“.

I wnet górnicy porzucili młoty,

Czując nad karkiem zawieszoną karę,

Stosy kamieni zgarnęli w pieczarę;

I od tój doby przybył zastęp nowy

Wiernych obrońców Niebieskiej Królowej.

STAROŚCINA.

Dzisiaj nas tylko cud uchronić może.

SKARBNIK.

A cóż na świecie bez cudu, mój Boże!

Człek nic nie zdziała, ni czynem, ni słowy,

Bez woli Pańskiej włos nie spadnie z głowy.

STAROŚCINA.

Jakże się sprawa nasz bratanek młody,

Zbigniew Ligeza?

SKARBNIK (*smutno*).

Nie uszedł przygody.

STAROŚCINA (*z trwogą*).

Jakto? czy zginął?

ZOFIA (*na stronie*).

O Panie! drzę cała!

SKARBNIK.

Wczoraj widziałem, gdy stał obok działa,

Upadł na ziemię obłany krwi strugą;

Lecz mnie książd przeor zawołał niedługo,

I wysłał w drogę.

STAROŚCINA.

O, cała truchleję!

SKARBNIK.

Nie trwoż się pani, miěj w Bogu nadzieję;

Rana, jak mówią, nie nazbyt głęboka,

Tu na policzku, nieco niżej oka;

Książd z klasztoru zbiegli ku pomocy:

Jeśli gorączka nie przyjdzie tój nocy,

Nic mu nie będzie.

STAROŚCINA.

Biedny mój Zbigniewie!

ZOFIA (*na stronie*).

O! co ja cierpię, co cierpię: nikt nie wie!

STAROŚCINA (*do Zofii półgłosem*).

Co się przed czasem trwożyć, Zosiu droga.

ZOFIA (*wskazując w niebo*).

Już go nie ujrzę, chyba tam u Boga!

CHORAŻY (*do Skarbnika*).

Więc o poddaniu nawet nie masz mowy?

SKARBNIK.

Każdy do kropli krew wylać gotowy,

Nikt się nie podda. O! póki tchu w łonie,

Murem stać będziem w Królowej obronie,

Wszystkich pociąga dzielny duch przeora.

Pomnę, w niedzielę, o zmierzchu, z wieczora,

Odprawiał nieszpór w cudownej kaplicy;

Nagle zgiełk powstał, wbiegli zakonnicy,

Podali pismo: Müllerowe posły,

Rozkaz poddania załodze przyniosły.

Przeor odczytał, padł czołem na ziemię,

Ciężkie pierś jego przywalało brzemię,

Żałośnie jęknął; lecz gdy wstał na nogi,

Nie było śladu na obliczu trwogi,

Łzy tylko biegły po licu strumieniem.

Wzniósł obie ręce do góry ze drżeniem:

„Słuchajcie, rzeczce, wy, Maryi żołnierze,  
Mamyż podpisać haniebne przymierze?  
Maszli bluźnierców w świętokradzka noga,  
Próg ten znieważyc?”

„Nie! — krzyknie załoga,

Takiego sromu nie dopuszczaj, Panie.“

Więc, rzekł Kordecki: „Śmierć czyli poddanie?”

„Śmierć“, zgodnym chórem, wołają obrońce,  
I odprawiono Müllerowe gońce.

A dzielny przeor chwycił krzyż do ręki:

„Przez znak ten, rzeczce, Chrystusowej męki,

Po moim trupie niechaj Szwed się wdziera

W te święte mury! W kim wola nieszczera,

Kto żywot waży, komu ciężą trudy,

Niechaj ustąpi na bok bez obłudy;

Tu niechaj sami przystąpią wybrani,

Do stóp ołtarza Nieskalanój Pani,

A ja tym krzyżem na śmierć ich naznaczę.“

Tłum niewiast rzewnie zawodzi i płacze,

A męże z pochew dobyli szablicy,

I za odpowiedź, hymn Bogarodzicy

Zagrzmiali chórem; a trąby na wieży

Wtórzyły pieśni pobożnych rycerzy.

STAROŚCINA.

O! im nie zginąć pod Maryi obroną!

SKARBNIK.

Przed nocą, czujne straże rozstawiono,

Ledwie na wałach sen spadł mi na oczy,

Nagle Czarniecki Piotr do mnie przyskoczy,

Targnął za poję: „Wstawaj, bracie, woła!

W obozie cisza, Szwed nie myśli zgola,

Byśmy téj nocy zaczepić go chcieli“.

Co tchum się zerwał, klingę karabeli

Przymocowałem do ręki rzemieniem,

I zwolna, nocnym osłonięni cieniem,

Szeptając po cichu do Maryi różaniec,

W sześćdziesiąt zbrojnych wdarlim się na szaniec!

Sam Piotr Czarniecki przewodził po przedzie;

Oj, jemu w puszczy dusićby niedźwiedzie,

Bo jak tur silny, a jak dąb wspaniała.

Zasłiśmy w obóz, działa spoczywały,

Szwedy oparłszy głowy o lawety,

W kudłate burki osłonili grzbiety,

I spali twardo; ognisko dogasło.

„Bogarodzico! zagrzmiął wódz na hasło,

Héj, naprzód wiara, w pień wycinaj wroga!“

W obozie Szweda zgiełk, zamęt i trwoga,

Migają szable, krzyżują się ciosy,

Padają trupy, jak pod sierpem kłosy;

Za każdym cięciem krew z pluskiem wytryska,

W górę słupami wybuchły ogniska,

Coraz to dzielniej nasz hufiec naciera.

Już się wdzieramy pod namiot Müllera,

Ależ go zbrojne otoczyły straże;

Zagrzmiały trąby, Horn ognia dać każe;

Lecz nim się rota zebrała niesforna,

Już spadł Czarniecki, jak piornn, na Horna;

Machnął szablicą raz jeden i drugi,

I hrabia upadł na ziemię jak długi;

Tarza się kadłub obłany krwi rzeką,

A łeb od karku odleciał daleko.

*D. c. n.).*

## BRANIEC TATARSKI,

opowiadanie na tle historycznym osnute,

przez Maryą Świdorską.

(Dokończenie).

Powstał i zbliżył się do mego posłania, a stał cicho, jak gdyby jakieś niezemskie zjawisko, u pasa coś mu brzęczało, gdy się poruszał, to różaniec. Nie wiedziałem znów, czy śnię, czy na jawie oglądam to wszystko i usiłowałem podnieść się na wezgiłowiu mojem, ale bezwładnie opadłem napowrót.

— Gdzieżeście się znów dostali, panie bracie?

— pytał ciekawie Juraś — przecie nie na tamten świat sądzę, a tego jednego wam brakowało, boście już byli na ziemi i pod ziemią, na wodzie i pod wodą.

— Otóż i ja sam nie wiedziałem, gdzie się znajduję — odrzekł Janek — ale powoli rozgadałem się z szanownym starcem, co jak duch opiekuńczy stanął nademną i przekonałem się, żeu jeszcze na tym świecie i to w klasztorze zacnych Ojców na górze Athos, dokąd mnie na poły martwego burza wyrzuciła. Pokazuje się, że owe łańcuchy, któremi byłem przykuty, obróciły się na moje ocalenie, trzymały mnie bowiem przytwierdzonym do ogromnej belki, którą fale na brzeg wyrzuciły. Tam mnie i starego Maksyma znaleźli zacni Ojcowie, którzy mają swe klasztory na wybrzeżu, ostrym kątem w morze się wsuwającemu. Oni nas przenieśli, rozkuwszy, do tego schronienia i odżywiwszy rozmaitemi kordyałami i nacieraaniem, pielęgowali z ojcowską prawdziwie pieczołowitością. A minęło kilka miesięcy, nim się z łoża podnieść mogłem po strasznym utłuczeniu i złamaniu prawej nogi; Maksym także nie mało ucierpiał, ale obaj czuliśmy, żeśmy dobili do portu i codziennie za to dzięki składaliśmy Wszechmocnemu.

Nie zapomnę nigdy dni tam spędzonych, prawdziwie między niebem a ziemią. Cudowna bo jest ta góra Athos, umajona zielenią i kwieciami, kąpiąca stopy w błękitnym morzu, a szczytem sięgająca obłoków. Wznosi się ona na jednym z trzech zębów półwyspu Chalcedońskiego, a sto-

ki jój pokryte klasztorami. Później, gdy już byłam silniejszy, zwiedzałem tę cudowną okolicę, gdzie prócz szumu fali, szelestu drzew i śpiewu ptasząt, słycać tylko dzwony wzywające na modlitwę i pobożne pienia mnichów, poświęconych na służbę Bożą \*).

Dziwny jakiś spokój spłynął mi w duszę, gdy przebywałem wśród tych ludzi świątobliwych i patrząc na ich życie ciche, zatopione w modlitwie, rozczytywaniu się w księgach i wielbieniu Boga w przyrodzie cudownej, sam chwilami pragnąłem być policzony między nich. Ojciec Bazyli, który właśnie czuwał nademną, gdy odzyskał przytomność, przybył tu przed laty z Ukrainy; on też zrozumiał słowa, które mi się z ust wyrwały w gorączce i odtąd wyjednał sobie pozwolenie wyłącznego pielęgnowania mnie. Z nim też najlepiej porozumiewać się mogłem; inni bowiem ojcowie przeważnie greckiego języka używali. Był w tym klasztorze (i w innych, jak się później przekonałem) zbiór ksiąg, a w nich wizerunki prześliznicie farbami wykonane; widziałem nieraz Ojców nad taką robotą pracujących i odpisujących stare rękopisma.

Gdy już byłem zdrowszy, Ojciec Bazyli wziął mnie z sobą do innego klasztoru, dokąd go przelożony za jakąś sprawą posyłał. Siedzieliśmy oba na osiełkach i wspinaliśmy się coraz wyżej, wyżej w górę; czasem prowadziła ścieżka nad brzegiem przepaści tak głębokiej, że się mimowolnie oczy od niej odwracało, ale osiełek stapał powoli, ostrożnie i wznosiliśmy się ciągle w górę. Przed zachodem słońca stanęliśmy pod cieniem wielkiego kasztana; osiełki zaczęły skubać trawę, a ja rzuciłem okiem dokoła.

Daleko, daleko pod stopami naszymi, srebrzyło się i złociło morze, którego szum oddalony nas dolatywał, nad nami lazurowe niebo, a między tym niebem i wodą zielone stoki góry, gdzie wśród gajów błyszczą złociste krzyże na wieżycach kościołów i kaplic. A jest ich takie mnóstwo, że gdzie okiem rzucić, tam szarzejają mury stariej budowli sług Bożych. Tu i ówdzie znów w szczelinach skał żyją pobożni pustelnicy, którzy ślubowali nie oglądać oblicza ludzkiego i w nocy tylko schodzą po chleb lub placki, które im z klaszto-

rów posyłają, składając to w jakim wydrążeniu wśród głazów.

Kiedyśmy przejeżdżali nad taką rozpadliną, Ojciec Bazyli w milczeniu wskazał palcem na dół, spojrzałem i dopiero po długim wpatrywaniu się w ciemną pieczarę, dojrzałem na ziemi kłęzącą postać, niby ludzką, ale tak skurczoną, wychudzoną i wyżółkłą, że trudno było uwierzyć, iż to człowiek żyjący. Okryty jakimś zbutwiałym łachmanem, kłęczał pustelnik przed kawałem kamienia wyciosanego w kształt krzyża i zdawał się nic innego nie widzieć, nie słyszeć. Dopiero kiedy ja, pochyliwszy się nad pieczarą, zasłoniłem sobą promień, który z góry padał na krzyż i złocił go swym blaskiem, starzec podniósł głowę i zamglone oczy utkwili w nas na chwilę, ale natychmiast zerwał się, jak ptak spłoszony i odwracając wzrok ku ziemi, zniknął w głębinie pieczary.

— Przyznam się — ozwał się pan Gozdawa, który dotąd słucał w milczeniu — że ja takiej służby Bożej nie pojmuję. Przecie nie na to, zda mi się, dał Pan Bóg człowiekowi rozum i wolę, dobrodziejmo mój, żeby się jak zwierz drapieżny krył po norach podziemnych. Albo to ja nie mogę służyć Bogu z pługiem czy kosą, a choćby z kordem w rękę? A waść, panie Janie, chciałeś już tam może przystać do tych pustelników?

— Uchowaj Boże — odpowiedział Janek — i choć przyznam się wujowi dobrodziejowi, że mi z początku kręciło się po głowie, żeby tam zostać na zawsze w klasztorze między Ojcami, to na myśl o szabli straciłem ochotę nawet do życia zakonnego. W miarę, jak mi wracała dawna siła, budziła się też coraz żywiej tęsknota za krajem ojczystym i zdawało mi się, że na skrzydłachbym poleciał tam daleko, na północ. Dobrzy Ojcowie nie przymuszali mnie też wcale, chociaż z początku uważali, że to pewno jakieś rozrządzenie Boże zapędziło mnie na ono wybrzeże nieznane.

Maksym mój pocciwy, którego także ojcowie odżyli staraniem swoim, uprosił, że go też, choć starego już, do zakonu swego przyjęli i ani myślał o opuszczeniu góry Athos. On, co w swym kozaczym żywocie zapomniał był praktyk religijnych, teraz przywiódł na pamięć lata dziecinne i cerkiewkę, do której go małym dzieckiem jeszcze matka prowadziła, śpiewał z mnichami pieśni nabożne, a tymczasem rosta mu coraz dłużej biała broda i wierny mój towarzysz, z kozaka na niewolnika tureckiego przerobiony, teraz się przemienił w mnicha.

Ja zaś wyczekiwałem jakiego okrętu, któryby mnie zabrał do Włoch, a ztamtąd do ojczyzny ukochanej; tymczasem siedziałem nad księgami

\*) Do dziś dnia na górze Athos wznosi się mnóstwo klasztorów, bardzo starożytnej budowy, zawierają księgozbiory, malowidła i inne stare zabytki. W rozpadlinach skał kryją się pustelnicy, pędząc żywot na ciągłej modlitwie. Położenie półwyspu tego, oblanego ze wszech stron morzem, a przedstawiającego kształt trójzębu, dziwnie ma być pigłne i uroczne, roślinność wspaniała i rozkoszny klimat. Zakony na górze Athos są po większej części obrządku wschodniego.

w klasztornej bibliotece i starałem się nauczyć różnych rzeczy z tych starych pergaminów. Między Ojcami, oprócz prostaczków, co nawet czytać nie umieli, byli ludzie uczeni wielce, a ci mi chętnie dopomagali, opowiadając różne ciekawe rzeczy o dawnych czasach, o narodach rozmaitych, o Rzymie i Carogrodzie, o Turkach i Arabach.

I tak mi znowu upłynął rok, już pono czternasty ucieczki mojej. Z dziecka wyrosłem na mężczyznę silnego a za łaską Bożą tak mi się zahartował duch i ciało, że śmiało gotów był w oczy spojrzeć każdej przygodzie.

— Ja bo też od razu przemyślałem — ozwał się Jurko — że was, panie bracie, trzeba tylko dostawić do naszego pana hetmana. Jemu właśnie takich potrzeba, co to i w ogniu i w wodzie hartowani, a teraz się pono zbiera na wojnę z Włoszą, toby was z otwartymi ramionami przyjął.

Bohowitynowa trwożnie spojrzała na syna i mimowoli wyciągnęła rękę, kładąc ją na bujnych włosach młodziana, jakby go osłonić i zatrzymać chciała, tego niby wskrzeszonego jedynaka, co jej starość mógł osłodzić i silnym ramieniem wesprzeć chwiejne jej kroki u schyłku życia pełnego cierpień. Ale nad matką wzięła górę obywatelka, co się nie waha i chwili, kiedy idzie o złożenie ofiary potrzebnej.

— Dobrze, mój synu — rzekła — pójdziesz, gdzie cię powoła serce i obowiązek, ale teraz jeszcze nie mówmy o tém, dokończ nam raczej opowieści o losach twoich.

#### XIV. Odjazd z klasztoru. — Powrót. — Matka sparłanka. — Błogosławieństwo.

— Z wiosną jakoś — mówił Janek — zatrzymała się przy górze Athos piękna galera, z której wysiadła gromadka pielgrzymów, pragnąca zwiedzić tutejsze miejsca święte, a wkrótce się ułożyło, że mnie z sobą zabiorą. Nie mając czém zapłacić przejazdu, zobowiązałem się na statku pełnić służbę majtka, do której byłem przez Turków zaprawiony. Przed samą Wielkanocą, odbywszy spowiedź i przyjąwszy komunię świętą po raz pierwszy w życiu, otrzymałem błogosławieństwo Ojców zakonnych i opuściłem progi gościnnego klasztoru, ze łzami żegnając ich i Maksyma, już w habit przyodzianego. Na odjeźdnym ojciec Bazyli wsunął mi w rękę sporą kieskę, mówiąc, że to Ojciec Przełożony dla mnie wyznaczył na drogę, i tak opatrzony, wypłynąłem znów na morze; tym razem bez przygód, odwiedziwszy po drodze Loreto, gdzie się zatrzymywali pielgrzymi, przybyłem do Wenecyi.

Nie będę już tu opowiadał o tym cudnym grodzie, co zda się z morza wyrastać. Powiem tylko

że w jednym klasztorze tamtejszym odpytałem, naszę Mirę między zakonnicami, co chorych i rannych pielęgnują i widziałem się z nią i dostałem na pamiątkę krzyżyk koralowy który oto mam na szyi.

Jednego ranka znów, kiedy wyszedł na wybrzeże zwane *Lido*, i przypatrywałem się jak słońce wschodzi, czuję nagle, iż mię ktoś chwyta wpół. Porywam się zdumiony i już sięgam ręką do kordelasa, którym sobie był kupił, bo tam na ziemi włoskiej nie mało rozmaitych rabusiów, co to ich „banditti“ albo „bravi“ Włochy zowią, kiedy ten, co mię tak niespodzianie napadł, woła śmiejąc się: „Signor Giovano!“ (co u nich znaczy panie Janie) i dalej mnie ścisnąć a całować. I dopiero poznaję, że to nasz Beppo, towarzysz z wyspy korsarskiej.

Zaczął mi opowiadać, jak to oni na morzu biedowali nim się dostali za Bożą pomocą na wybrzeże Grecyi, jak potem każdy do swojej ojczyzny starał się dostać, jak ów kupiec z Francyi zaręczał, że musi mnie z niewoli wykupić jak on, Beppo, nazbierawszy gąbek i handlując niemi, dostał się wreszcie do Włoch wraz z moim Leszkiem, którego nikomu oddać nie chciał. Wreszcie dowiedziałem się, że Leszka zabrał jakiś pan polski bardzo bogaty „un Principe polacco“, jak mówił Beppo i jemu też sporą sumkę zostawił. Potem ucieszony chłopak zaprowadził mnie do swojej chatki rybackiej, gdzie znalazłem starą matkę jego, pomarszczoną i ze sporemi wąsami i bródką (jak to niewiasty we Włoszech często na starość miewają), a prócz tego śliczną Guiletę, z którą się był przez ten czas Beppo ożenił. Wszystko troje tak mnie serdecznie gościli i częstowali że mój zjeść musiał całą miskę ślimaczków morskich w oliwie smażonych, zapić to kubkiem wyborowego wina i odprowadzony przez Beppa wróciłem do mojej gospody. Przy pożegnaniu szepnął mi jeszcze poczciwy rybak, że on już teraz cudzego nic nie bierze, a dzięki Madonnie i Signorowi polskiemu dosyć ma dla siebie i rodziny. Uspokojony o los Leszka, przemyślałem już tylko jak się dostać do kraju.

W Wenecyi jeszcze spotkałem rodaków naszych, którzy mnie serdecznie witali i wszelką pomoc ofiarowali. Jeden z dworzan miłościwego księdza arcybiskupa Gnieźnieńskiego, \*) znajdując

\*) Andrzej Krzycki, kanclerz króla Zygmunta I, późniejszy arcybiskup Gnieźniński, człowiek wielce uczony i zący; pisywał sam poezye okolicznościowe, a opiekował się chętnie młodzieńcami zdolnymi. Jemu wiele zawdzięcza Klemens Janicki znakomity poeta ówczesny, syn włosciański, zmarły wczesnie we Włoszech. Krzycki zmarł 1537 roku.

cy się tam podówczas, chciał mnie zaraz wziąć na dwór pana swego, który, jak mówił, każdego uczciwego młodzieńca chętnie przygarnie i na człowieka wykieruje. Ale ja go przedewszystkiem spieszyłem pokłonić się tej Matce Najświętszej, której wizerunek na piersi noszony ochraniał mię lat tyle we wszelkich przygodach i niebezpieczeństwach. I tu mię widocznie przywiódł palec Boży bym po latach tyłu sieroctwa i tułaczki odnalazł was, mateńko najdroższa i miłościwa, oraz cudownem zrządzeniem Opatrzności odzyskał imię przodków moich. Teraz mi tylko brakuje, bym przez chrzest rycerski stwierdził to szlachectwo, spuściznę ojców.

— Mnie się zdaje — ozwał się pan Gozdawa — żeś już waść dostatecznie ochrzczony w tyloletniej niewoli i możesz teraz spokojnie orać zagon ojczysty; ale sprzeciwiać się nie będę, tylko wprzód naradźcie się z panią matką i róbcie jak się wam zda najlepiej.

— A ja, za pozwoleniem waszém — wtrącił pokornie Juraś — śmiałybym jeszcze radzić, żeby Janko stawił się u naszego pana hetmana (Jana Tarnowskiego). Tam dopiero poznać można, co to jest życie i sława, a dla takiego junaka wszędzie podwoje otwarte i żadnej protekcji szukać on nie potrzebuje.

Bohowitynowa po chwili milczenia ze złożonymi rękami, jak gdyby się w duchu modliła, podniosła na syna wzrok błyszczący męztwem i dziwną jakąś pogodą i rzekła:

— Powtarzam ci, dziecko moje, że ja, matka, woli twój krępować nie chcę. Przedewszystkiem należy się służyć tej wspólnej matce naszej, dla której ojciec twój i dziadowie krew swą przelewali. W Bogu mam ufność, że cię nie opuści i strzedz będzie tak, jak strzegł przez te ciężkie lata niewoli pogańskiej, a mego bolesnego sieroctwa. Niech cię On błogosławi, jak w tej chwili błogosławi cię matka na wszelkie przygody i zamysły twoje.

Wzruszony młodzian ukląkł, schylając się do nóg tej matki zacnej, co nie bacząc na własne cierpienie, gotowa była w każdej chwili złożyć ofiarę z tego, co miała najdroższego; ręce jej wzniosły się nad głową jedynaka a usta szeptały słowa cichej modlitwy. Przez okienko otwarte jasny promyk słońca oświecił matkę i syna, a wszyscy przytomni, ze wzruszeniem głowy pochyliwszy, do słów błogosławieństwa matczynego dodali uroczyste Amen.

Maryjka ze łzami patrzyła na odzyskanego niedawno, a tak już ukochanego braciszka, i nawet Halka trzpiotka ukradkiem łezkę otarła, choć jej koralowe nsteczka, jakby do uśmiechu się

składały. Piękny był widok tej rodziny zjednoczonej w jedném, silniejszym nad miłość rodzinną uczuciem.

#### XV. Obertyn. — Znów na Jasnej Górze. — Zakończenie.

I odjechał Janko do obozu pana hetmana z Jurkiem razem, a Bohowitynową zatrzymali państwo Wincentowie w dworku swoim pod Częstochową, żeby miała opiekę przyjacielską i łatwiej dostawała wiadomości o synu. W owe czasy jeszcze poczty nie było, ani też gazet żadnych nie wydawano, trudno więc było o wieści prędkie i pewne, i te, które dochodziły, tak się z ust do ust przechodząc przeinaczały, że im wiary nie dawano.

Raz jednak z klasztoru OO. Paulinów na Jasnej Górze przysłano do dworku Gozdawów jakieś pisanie, które, jak się okazało, było od Janka do matki. Donosił tam o swém zdrowiu i powodzeniu, o wielkiej dobroci pana hetmana i o gotującej się wyprawie na Wołoszczyznę.

Potém do cichego dworku doszły słuchy o świętném zwycięztwie pod *Obertynem* (22 Sierpnia 1530 r.) o wjeździe tryumfalnym sędziwego hetmana do Krakowa. Ktoś ze szlachty okolicznej, co był w stolicy w czasie tej uroczystości, opowiadał, jak król Zygmunt za zbliżeniem hetmana powstał z tronu i sam już starzec, starego wodza do serca przycisnął. Rozповідаł, jak przywiedziono do stóp króla działa zdobyte na Wołochach i jeńców zabranych w bitwie pod Obertynem. I brzmiał rozgłosnie dzwon „Zygmuntem“ zwany, który niedawno przedtém król kazał ułać i zawiesić na Wawelu, lud zebrany wydawał okrzyki radosne, a wszyscy zwycięztwem upojeni, zapominali o innych niebezpieczeństwach, wiszących nad Rzeczpospolitą.

Tymczasem upłynęła i wiosna (1531 r.), a kiedy kłosa złożyły się na łanie, znów się w dworku Gozdawów rojno i gwarno zrobiło, bo zawitał tam poczet rycerzy. Przybyli konno i zbrojno, a na czele jechał młodzian piękny, o licach ogorzałych i ciemnych włosach, a czarném oku, z ręką prawą na temblaku; lewą jednak kierował zręcznie karym rumakiem swoim. Przy nim drugi, niższego cokolwiek wzrostu i z jaśniejszém włosiem, a niemniej pięknego i dzielnego lica młodzieniec.

To Janek i Juraś, obaj okryci chwałą w bitwie,

\*) Piotr czyli Petryłło wojewoda moldawski zajął podstępnie Pokucie, bez wypowiedzenia wojny, ale hetman Tarnowski wkrótce wypłoszył z tamąd Mołdawian i stanął w 4,000 rycerstwa pod *Obertynem*, gdzie nań uderzył Petryłło w 22,000 ludzi i pięćdziesiąt dział; lecz wojska jego rozbite, zostawiło w ręku naszych działa swe, mnóstwo jeńców i wszelkie zasoby obozowe. Potém musiał Petryłło przychodzić.



gdzie przy boku sędziwego hetmana dzielnie się przyczynili do gromienia wrogów. Janek, ranny w rękę prawą, musiał już porzucić zawód wojskowy, a otrzymawszy od króla jegomości w darze ładną wioseczkę, Nowy Staw pod Krzemieńcem, śpieszył uprawiać zagon ojczysty, otaczając, zarazem ukochaną matkę opieką synowską, której tak już potrzebowała. Juraś także, zanim się na nową wojnę zaniesie, śpieszył użyć wczasu na Wołyńskich niwach, z kąd był rodem. Co tak rycerskie-

ludzie w koło, a Janek w granatowym żupanie \*), delii karmazynowej i kołpaczku o czaplém piórze na głowie, lewe ramię podaje hożej czarnobrewej Halce, w białej, łabędzim puszką bramowanej jubce i takimże obcisłym kabaciku, a zielonym wianeczku, z pod którego duże krucze włosy do kolan prawie spływają.

W drugiej parze Juraś ze złotowłosą w białej sukience Maryjką, także u ołtarza pobłogosławieni. Dalej Bohowitynową prowadzi pau-



Miasto U.Czan-Fu w Chinach (str. 458).

go młodziana usposobiło do tęsknoty za wsią i spokojem, przekonamy się niebawem.

\* \* \*

W wigilią Matki Boskiej Zielnej znów tłumy pielgrzymów zaległy Jasną Górę w koło, ale wśród mnóstwa ludu zwraca uwagę powszechną drużyna weselna, co właśnie z kaplicy Najświętszej Panny wychodzi. Ludzie się rozstępują, ale wszystkie głowy, ciekawie naprzód pochylone, ścigają wzrokiem dwie pary państwa młodych, co wśród grona krewnych wychodzą właśnie z kościoła.

„To branie tatarski” szepczą roztrącając się

Gozdawa, a za nimi inni weselni goście postępują, między którymi nie brak i smukłego a jasnowłosego Leszka, odszukanego z łatwością, i to w Krakowie, gdzie pierwszy poznał swego młodego opiekuna.

Jak się później raczono w modrzewiowym dworku, nim się obie pary młode w drogę na Wołyń puściły, opowiadać już nie będziemy, bośmy tam nie byli „miodu i wina nie pili“...

\*) Kontusze upowszechniły się dopiero około czasów Sobieskiego; żupany zaś bardzo dawno już w Polsce noszono.

## Miasto U-Czan-Fu w Chinach.

Widok miast chińskich jest tak odrębny, że każdy pozna je odrazu na rycinie, nawet i bez podpisu. Dachy, u brzegów podgięte do góry, stanowią niezmiernie charakterystyczną cechę budynków chińskich, wszystkie tak wyglądają.

Rycina nasza przedstawia miasto U-Czan-Fu nad rzeką Yan-Tse. Okala je mur zębaty, a do tego muru przytykają domki. Po schodkach kamiennych wchodzi się na taras, na którym wznosi się wysoka wieża, obyczajem chińskim ozdobiona dzwonekami.

## GAWĘDY PODSŁUCHANE U WISLANEJ FALI.

przez M . . a.

### Ziarnko kary.

Chmurna i duszna była noc świętojańska nad mazowieckimi lasami 1262. Zaledwie gdzie-gdzie na wyżynach błyskały sobótkowe ogniska i gasły niepodtrzymywane. Nikomu się przez nie skakać nie chciało. Wisła, gniewnie jakoś hucząc, miała jakby przyspieszonym biegiem wyniosłe wzgórze, na których ciemniej jeszcze było, niż w innych stronach. Na wzgórzach tych rozsiadła się zamożna wieś Jazdowo \*). Ponad nią z gęstego lasu wybiegały ku chmurom potężne baszty i mury Jazdowskiego zamku, podobne w cieniach nocy do olbrzymiego widma. Na okół tutaj ani jeden sobótkowy stós nie płonął. Dla tego to zapewne gnięwała się Wisła, przywykła do wcale innego corocznie tej nocy obchodu. Zazwyczaj rozkosz to była fali wiślanej biec tędy w noc świętojańską, bo nigdzie weselej, nigdzie tłumniej, nigdzie ogromniejszymi ogniskami nie wieńczono nadwiślańskich wybrzeży, jak tutaj. Teraz było ciemno, duszno i milcząco.

Ale nie tylko wartkiéj rzece nie podobała się ciemność i cisza tej nocy. Podrażniła ona także i pana Jazdowskiego zamku. Ten pan był to Ziemowit I, książę mazowiecki syn Konrada, synowiec Leszka białego, blizki krewny panującego właśnie Bolesława V-go, króla polskiego. Ziemowit, nauganiawszy się cały dzień za grubym zwierzem, gęsto napełniającym mazowieckie lasy, teraz po obfitej wieczerzy spoczywał w wysokiéj komnacie zamku na łożu, wysłaném licznemi futrami. Kamienna była tej komnaty posadzka, kamiennie i wilgotne ale potężne jéj ściany. Zamki budowały się dla ochrony przed nieprzyjacielem

tylko. O wygodę nikt nie dbał. Zastępowało ją silne zdrowie, i przywyknienie do surowego życia.

To też dziwił się książę sam sobie, że leżąc od dawna, nie spał. Wstał, i zbliżył się do rozwartego okna, aby czas po gwiazdach zmiarkować. A w tém nowa myśl go zajęła. Z wyżyny swojej po przez szczyty kniei, obrastającej ku rzece stok Jazdowskiego wzgórze, spojrzął pan na wieś drzemającą w cieniach i ciszy ponuro, spojrzął i klasnął w dłoń kilkakrotnie. Na ten znak odpowiedział głuchém ale silném mručeniem niedźwiedz chowany, stróż progu pańskiego, leżący u drzwi. Wnet roztrzęsły się też drzwi te, wszedł sługa przywołany w ten sposób...

— Wszak to dziś jest najkrótsza noc? Dla czegoż ogniska na wzgórzach nie płoną? Dla czego lud nie śpiewa, i nie tańczy, i nie kąpie się jak należy w święto Kupaly? Co to znaczy? ta cisza, ciemność i milczenie?! — Tak pytał Ziemowit podrażnionym jakimś, gniewnym i urwanym głosem. Sługa odpowiedział ponuro:

— To znaczy, że nie do śpiewów jest dzisiaj ludowi. Nie daj Boże, lada chwila mogą nam błysnąć inne ogniska, i krwawa może nas czekać kąpiel, i jęk może rozbrzmieć zamiast śpiewów: wszak posłuchy chodzą, że Litwin poganin nadchodzi. A cóż zaprzeszłego roku działo się w płockiéj ziemi... zgroza.

— I cóż ztąd? — krzyknie Ziemowit. — A cóż za to przeszłego roku działo się na Żmudzi i u Jadzwingów, tych litewskich druchów, gdzie my Mazury poszliśmy z krzyżackimi rycerzami? Czyśmy się Litwie źle wtedy odwzięczyli za Płock? wszak tam byłeś, to powinieneś wiedzieć. Nie bójcie się! nie tak prędko odważy się litewski Mendog ściągnąć na siebie nowy odwet. A gdyby się odważył, to co? czy to nie mamy przyjaciół krzyżaków pod bokiem? Spędzić tu lud! rozpalać mi natychmiast ogniska i święcić noc świętojańską! Ja tak chcę! Ja mam strażę i czaty porostawiane daleko; gdyby Mendog zamysłał ruszyć ku nam ze swą Litwą, ja pierwszy wprzód niż wy wiedziałbym o tem!

Gniewnym tym wyrazom towarzyszyło tak rozkazujące skinienie ku drzwiom, że sługa stary przestraszony cofnął się za drzwi natychmiast nie śmiejąc słowa więcej powiedzieć. Wyszedłszy wszakże, stanął strapiiony, w namysłach nie wiedząc co czynić.

— Ej, trzeba iść do księcia Konrada, ten mi poradzi! — mruknął sługa po chwili i jak mógł najprędzej podążył do baszty narożnej, w której mieszkał Konrad młody syn Ziemowita. Prawie natychmiast wybiegł młody książę ze swego mieszkania, i śpiesznie bieżąc przez rozległe

\*) Dzisiejszy Ujazdów pod Warszawą.

zaczysko, stanął przed ojcem. Nowy mruk pełniącego sumiennie swą służbę niedźwiedzia oznajmił przybycie jego do ojcowskiej komnaty:

— A! to ty jesteś! — rzekł książę Ziemowit, odwracając się od okna, przy którym stał dotąd. — Wyobraź sobie, ludzie poszaleli: nie chcą obchodzić święta Kupały, a ja lubię na to patrzeć. Kazałem ich napędzić i ogniska rozpalać natychmiast!

— Ojcie, — odpowie Konrad — nie wiem, czy będzie można spełnić wasz rozkaz, lud w grozie przed Litwinami uciekł z wiosek, i poukrywał się w lasach!

— Co? to oni tak naprawdę śnią o Litwie? — rzekł zdziwiony Ziemowit. — To bezrozumni lud! przecież jabym o tém najpierw wiedział, bo po to utrzymuję wartowników po drodze całej!

— Tak to jużci jest, jak powiadacie, panie ojczy — rzekł Konrad zamyślony, a jednak popłoch okrutny wśród ludu panuje. Ale ja myślę, że to może... — Konrad uciął mowę, zawahał się i zaczerwienił, nieśmiało spoglądając na ojca. Pomimo cieniów nocy letniej, rozpędzanych słabo blaskiem płonącego na kominie łuczywa, Ziemowit dostrzegł wahanie i niepewność syna, rzekł więc żywo:

— Cóż to? co masz na myśli? mów zaraz! nie lubię skrytości.

— Ach, ojcie! — nagle ręce składając wybuchnął młody książę — dla czegoż wy tak ciągle z tymi łupieżcami Krzyżakami trzymacie?.. oni chytry naprowadzają was na Litwę, sami biorą łupy, a Litwa potem mści się na nas, bo to jęć łatwiej, niż na nich, i na całej Polsce mści się Litwa za to! Dla czegoż nie trzymać wam lepiej za jedno z naszym krewnym, polskim Bolesławem na Krakowie? Czyliż to nie lepiej jednoczyć się ze swoimi, niż z wrogami?! Nie drżałby wtedy lud, jak drży teraz, gdy co chwila czuje, że Litwin napadać go ma za co, i ma do tego sposobność, bo mu ją sam wasz zdradliwy przymierzeniec poda, ten Krzyżak!..

Młody książę mówił to wszystko błagalnym głosem drżąc z obawy przed gniewem ojcowskim za takie w jego sprawę wglądanie. Ale książę Ziemowit był właśnie w dobrém jakimś usposobieniu, przeto rzekł surowo, lecz dość pobłażliwie:

— Milcz o tém, czego nie rozumiesz, chłopcze! Krzyżak chytry, ale jest chytróść na chytróść, i rozum na rozum. Z królem Bolesławem nie daleko zajedziem; do Węgier co najdalej, wzięwszy nogi za pas, tak, jak on uczynił niedawno, zmykając przed Mongołami. Wolę się więc trzymać Krzyżaków. Kto wie jeszcze, co nam sądzono

przy ich pomocy, i przy takim niezdarze, jak ten Bolesław; czy to już koniecznie niezdarom tylko siedzieć na krakowskim zamku? Już raz, gdy Bolesław był w Węgrzech, chcieli niektórzy innego pana obierać, może to się zdarzyć i drugi raz. A wtedy, kto zaręczy, czy nie obiorą pana z Jazdowa, przy Krzyżaków zręcznej pomocy?!

— Och, panie ojcie! — ze zgrozą Konrad wykrzyknął — przecież tak znów przeciw swoim wprost nie pójdziecie z Krzyżakami!

— Milcz! — gniewnie ofuknął Ziemowit — nie przeciw swoim, ale dla dobra swoich bym to zdziałał, aby króla mieli dzielnego zamiast niezdarzy! A oto patrz, jak pięknie i licznie ognie Kupałowe błyskają za lasem! znalazł się widać lud, rozbiegły po lasach, rozkazem moim wypłoszony, mu popłoch jego.

Książę Konrad, lepiej od ojca świadomy owego popłochu, zdziwił się tak prędkim jego zagnaniem, i przeto, przystępując do okna, baczną spojrział po okolicy. W istocie liczne ognie nagle i szybko powstawały, jawiąc się na wszystkich stronach, jakby za umówionym znakiem.

— Panie ojcie! to nie Kupała! to wioski nasze gorą! to Litwa idzie! — krzyknął gwałtownie młody książę.

— Czyś i ty rozum stracił? — odpowie Ziemowit — czekaj chwilę, a wnet usłyszysz Kupałowe pieśni!..

Jakby na ziszczenie tej przepowiedni, nie pieśń wprawdzie, ale wrzask dziki z niezliczonej liczby piersi wychodzący, szczęk oręża i loskot straszliwy drzwi bram i okien wyłamywanych, rozległ się nagle w tej chwili.

— Litwa! podeszli podstępni lud uciekł! straż wymordowana! — krzyknął Konrad i z bronią w obu rękach rzucił się ku drzwiom, które wypadły, przygniatając go od razu swém uderzeniem do kamiennęj posadzki. Mimo dzielnej obrony, Ziemowit padł w chwilę później. Zamek był zdobyty, całe Mazowsze zniszczone ogniem i mieczem pogan.

— A co? druhu! jak się masz? jakże ci służy przyjaźń krzyżacka? masz na coś zarobił... — takimi szyderczemi słowy powitał drwiący Mendog \*) związanych książąt mazowieckich, stanąwszy nad leżącymi tam, gdzie padli, w komnacie zamku w Jazdowie. Książę Ziemowita znał on dawno i do niego mowę zwracał. Widząc, że mu nie odpowiadano dodał:

— Tego małego wziąć do tamtej wieży! pilno!

\*) Mendog Mirdowe król Litwy, syn Ryngolda, okrutny nawet względem własnych krewnych, jakkolwiek przyjaźnił się z królem czeskim r. 1251.

wać baczenie, obaczmy, czy nie potrafi się okupić. Ale ze starym przyjacielem Krzyżaków trzeba raz skończyć, abym miał spokój z tej strony; weź go ty, Swarno! tobie go polecam, rozumiesz?..

Wódz Swarno, ulubieniec Mendoga, skinął tylko głową obrosłą, głową wielce dzikiego zwierza przypominającą. Kazał natychmiast zanieść związanego księcia Ziemowita do baszty przeciwległej tej, w której strzeżono Konrada. Popróbowano do wiedzieć się od Ziemowita czego z tajemnic krzyżackich, a następnie Swarno własną ręką ściął swego więźnia. Jeszcze w końcu XVII-go wieku pokazywano w Ujazdowskim zamku miejsce, w którym zamordowany został Ziemowit I-szy książę mazowiecki.

Zniszczywszy Mazowsze, jak poprzedzającego roku Płock zniszczył, okrutny Mendog wrócił do swojej Litwy, by pracować po swojemu morderstwami i podjęciami nad zjednoczeniem pod swoją władzą w wszystkich udzielnych ziem litewskich i innych, jak nie tylko zdobyć mu się udało. Niedługo już wszakże, bo tylko rok jeden tak okropnie pracował. Roku 1263, w rok cały po owym morderstwie w Ujazdowskim zamku, jechał Mendog w nielicznym orszaku, gęstym lasem ciągnącym się ponad Dźwiną. Nagle silne uderzenie ostrym żelazem rzuciło go pod kopyta własnego konia. W jednej chwili cały orszak królewski pierzchnął; morderstwo to było rozmyślnie, najbliżsi krewni okrutnika wszyscy mieli powody go nienawidzić. Żadnemu z nich zapewne zdrada nie uszła bezkarnie, tak, jak zazwyczaj nie bezkarnie nie uchodzi nikomu, ale tymczasem oni sami bezwiednie spełniali straszliwą karę Bożą. Mendog konający leżał samotny wśród lasu, koń tylko jego odłączył się od rozpierzchającego orszaku i stał teraz nad panem ze smutno zwieszoną głową.

— A co, druhu? Jak się masz? jakże ci poszły okrucieństwa twoje? masz teraz, na coś zarobił! — Takie wyrazy zabrzmiały nad uchem konającego króla Litwy. On zadrżał, bo zdawało mu się, że siebie zamego posłyszał przemawiającego temiż prawie słowy przed rokiem do księcia mazowieckiego; otworzył omdlałe oczy: Przed nim stał własny jego krewny, Downmund, ciężko pokrzywdzony przez niego. Mendog nagle przypomniał sobie, że był chrześcijaninem, przypomniał, że coś mu chrześcijańscy nauczyciele o karze mówili, o karze tej, jaką każdy zły uczynek sam w sobie nosi, jak ziarno, które z czasem dojrzeć musi, .. chciał coś o tém pomyśleć Mendog, lecz, .. czasu brakło: król Litwy skonał!

## PAMIĘTNE CHWILE.

*Dnia 15 Lipca r. 1410.* Na polach Grünwaldzkich stanęły naprzeciw siebie dwa zbrojne szeregi: z jednej strony Polacy, a z nimi różne ludy słowiańskie, Litwa i Tatarzy, z drugiej Krzyżacy i Niemcy. Zagrały trąby bojowe, szeregi zadrzęły, zaszeleściły proporce i z obu stron razem puściły się zastępy, walka zacięta zawrzała, dwie siły się starły, lecz która zwycięży? Bóg to jeden wiedział.

Władysław Jagiełło, otoczony licznym orszakiem, z miejsca bezpiecznego, znajdującego się na wzniesieniu, przypatrywał się bitwie z bijącym sercem. Ścierali się wojownicy, kopie pękały, krew ciekła, ranni padali, lecz ani Polacy, ani Krzyżacy nie ustępowali.

W tém Krzyżacy zwrócili się w stronę, gdzie stali Litwini z Witoldem i Tatarzy; natarli dzielnie i Tatarzy pierzchać poczęli, ciągnąc Litwinów za sobą. Próżno sam księżę zastępował pierzchającym drogę, próżno zmuszał ich powracać do boju, słuchać nie chcieli i za przykładem Tatarów skryli się w lasy okoliczne. Uradowani Krzyżacy śmiej się zwrócili się teraz do Polaków i Czechów, Jagiełło zwątpił o zwycięztwie, Niemcy okrążyli hufce jego w okół i docierali do wielkiej chorągwi, ale tam stali najdzielniejsi z rycerzy i chorąży krakowski, Marcin z Wrocimowic i wielu innych; w nich całą nadzieję dokładał król a przede wszystkim w Bogu, który sprawiedliwój sprawie sprzyja.

Poważny, pełen niepokoju wzrok podniósł Jagiełło na chorągiew, w niej widząc jedyne zbawienie, wtém chorągiew zachwiała się i znikła mu z oczu; król westchnął ciężko, boleśnie i oczy dłońmi zakrył, by nie patrzeć na tryumf wroga, na srom swoich, pewny był, że lada chwila królewskie pułki pierzchać poczną.

Lecz cóż to za krzyki radości rozległy się nagle? Odsłonił król oczy i cóż widzi! znowu chorągiew królewską, sterczącą dumnie, wspaniale, a bój trwa dalej; rozpierzchli Litwini wrócili, wzmocniły się szyki polskie i Niemcy teraz zdają się chwiać, cofać, kupiąc się koło chorągwi Mistrza, bronią jej, lecz wrogów moc coraz większa koło tej chorągwi, coraz więcej rąk sięga po nią, aż w końcu ktoś z szeregów Jagiełły ją schwycił i cisnął na ziemię a wtedy wśród szyków krzyżackich podniosły się krzyki, płacz i lament; pierzchają, tłoczą się, płaczą Niemcy, uciekają tłumnie z pola bitwy. Zwycięztwo stanowczo przechyliło się na stronę Jagiełły.

Bitwa pod Grünwaldem, którą Polacy stoczyli

za panowania Władysława Jagiełły z Krzyżakami, jest jedną z najślawniejszych bitew, jakie wygrali kiedykolwiek. Padło w niej 40,000 Krzyżaków, a między nimi sam Mistrz Ulryk, który tę wojnę wywołał, pewnym będąc że zawojuje Polskę, tak to chciwość i pycha często ukarane bywają.

*Teresa Jadwiga.*

## POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

(Dalszy ciąg).

Tak ostrzeżeni, myśliwi i Makora wyprawili podjazdy i poustawiali strażę i placówki, aby czuwały nad ruchami nieprzyjacielskimi. Nazajutrz rano podjazdy wróciły donosząc, że nieprzyjaciel już przybył. Wojownicy Moselekatsego stanęli obozem na noc o pięć mil odległości, to jest o godzinę drogi.

Skoczywszy na koń, Henryk i Arend natychmiast ruszyli obejrzeć stanowisko nieprzyjacielskie. Tymczasem szybko zwinęto obóz i stano w pogotowiu, tak do boju, jak do ucieczki. W godzinę przypadli dwaj myśliwcy donosząc, że nieprzyjaciel idzie w liczbie trzystu ludzi mocno zbrojnych.

— Niema żadnych wątpliwości, co do ich zamiarów — rzekł Henryk — ujrzawszy nas z daleka rzucili się ku nam, zasypując nas gradem pocisków wśród przeraźliwego wycia.

— Jeżeli tak — rzecze Hans — to niema na co czekać. Ruszajmy w drogę, bo jesteśmy w zbyt małej liczbie, aby pomyśleć o utarczce i oporze.

— Zdaje mi się, że Makora innego jest zdania — powiedział William.

Wszyscy zwrócili się do wodza: Makora najwyraźniej przygotowywał się do bitwy.

— Kongo — rzekł William — spytaj go, czy on sądzi, że jesteśmy w możności odeprzeć nieprzyjaciela?

Zapytany Makora rzekł stanowczo, że wojownicy Moselekatsego mogli być odparci tylko przeważnymi siłami.

— Jeżeli tak, to cóż on zamyśla? czyliż chce aby nas wszystkich wymordowano?

Makora odpowiedział, że on i jego wojownicy uczynią wszystko, co rozkażą jego biali przyjaciele.

— O! jeżeli tak — zawołał William — to uciekajmy co prędzej; żaden z tych ludzi nie narazi się dla nas, dopóki to będzie od nas zależać.

Wtedy wyruszono w drogę tak pośpiesznie, że

Makalolosy musieli porzucić nawet zapasy mięsiwa, z takim trudem przygotowane.

Pośpiech ten był koniecznym. William i Henryk umyślnie przystawszy trochę, ujrzeli Zulusów, postępujących w szyku wojennym. Czarny wódz pragnął zemsty. Młodzi myśliwi nie życzyli sobie bliższej z tą silną gromadą znajomości: śpiąwszy wierzchowce, dopędzili wkrótce Makorę z jego gromadką.

## XXXIII.

Odwrót.

Makora i jego Makalolosy spodziewali się, że Zulusy nie będą długo ich ścigać, zadowoliwszy się ich odwrotem i zwinieniem obozu. Omylili się okrutnie; wyprawa wojenna, przedsięwzięta przez Moselekatsego, miała za cel zagarnięcie posiadłości Makalolosów i Makory, a król Zulusów nie zwykł wyrzekać się swych zamysłów przed ich spełnieniem. Makora, czując się ściganym, zrozumiał wszystko i pośpieszał gwałtownie do swych posiadłości, aby się przygotować do obrony. Makalolosy pochodzą z rasy ludzi o wiele wyższej od licznych innych plemion południowej Afryki, o czém dobrze wiedząc młodzi myśliwi, zdumieli się na widok rozpaczliwego popłochu, jaki ogarnął ich przyjaciół w obec zbliżających się Zulusów. Zamiast przygotowań do walki, Makalolosy sposobili się na prawdę tylko do ucieczki. Zdziwienie młodych śmiaków ustało jednakże, gdy Makora dał im niejakię objaśnienia o grożącym mu nieprzyjacielu.

Matabelasowie, tak się nazywało to plemię Zulusów, nad którem panował Moselekatse, byli według zdania Makory najbardziej wojowniczym ludem Afryki południowej. Potężny ich król mógł postawić na stopie wojennej armią z pięciu tysięcy wojowników złożoną! A zazwyczaj dowódcy tych wojowników mają rozkaz nie darować życia nikomu Makora utrzymywał, że i jego poddani są także odważni, ale mimo to uznawał, iż nie mogą żadnym sposobem opierać się tak potężnemu monarsze. Makora był pewny, że w razie bitwy połowa przynajmniej jego najdzielniejszych ludzi padnie na miejscu, reszta zaś pokolenia zostanie ujęta w ciężką niewolę, a zwycięzcy wydrą im dobytek i wszystko, co tylko miało jakakolwiek wartość. Aby uniknąć potęgi króla Moselekatsego, był tylko jeden sposób: usunąć z przed oczu jego wszystko, co mogło chciwość jego obudzić. Tym tylko sposobem Makora wraz z plemieniem swoim utrzymywał od kilku już lat swą niezawisłość; najroztropniej więc było uciec się i teraz do tegoż samego środka.

Młodzi myśliwi uznali nareszcie słusność tego postanowienia, a Makora wprowadził je w wykonanie, jak tylko dopadł do swęj siedziby. Trzody spędzono razem i uprowadzono. Mężczyźni, kobiety i dzieci poszli za niemi, każdy niósł sprzęty, kość słoniową, i wszystko, co kto posiadał i co się z miejsca unieść dało. Kobiety, dzieci i trzody wysłano naprzód, Makora i jego wojownicy szli za niemi, aby ich bronić od napaści.

Przebycie rzeki Limpopo potrzebowało czasu, a ponieważ do najbliższego brodu było pięć mil odległości, przeto należało się obawiać starcia, zanim całe pokolenie będzie mogło osiągnąć przeciwnego brzegu.

Stało się to, czego się obawiano. Bród był niepewny, z trudnością więc tylko można było przeprowadzić bydło, pomagając mu w przeprawie. Wszystko to zabierało czas, więc zanim dokonano przeprawy, Matabelesowie nadciągneli.

Wojownicy Moselekatsego, przyzwyczajeni do zwycięstw, zaledwo dopędziwszy zbiegów, rozpoczęli natychmiast kroki zaczepne, chociaż ich straż przednia składała się tylko z dwustu ludzi. Wstrząsając straszne topory, a zasłaniając się tarczami, rzucili się naprzód z przeraźliwemi okrzykami, spragnieni mordu i krwi, któremi się przywykli napawać.

Wtedy poddani Makory, chociaż ustąpili ze swych siedzib, przecież dzielnie wystąpili do boju i okazali się w rzeczy samęj pełnymi nieustraszonej odwagi. Rzuciwszy się na Matabelesów rozpoczęli walkę pięścią o pięść. Po chwili jednakowa dzikość i szal wściekły ożywiały obie strony. Jak można się było tego spodziewać, pierwszą myślą Makory było zabezpieczenie białych przyjaciół. Widocznie musiał zawczasu dać swym ludziom rozkaz zasłaniania ich. Ale Henryk i Arend byli żołnierzami, mieli teraz wyborną sposobność okazania swych wojskowych zdolności, pochwycili ją więc z pośpiechem. Zaczęli strzelać do Matabelesów, a za ich przykładem natychmiast poszli William i Hans, chociaż ci po raz pierwszy dopiero widzieli ludzi padających pod ich kulami. Czterech nieprzyjaciół poległo od razu pod celnymi strzałami młodzieńców. Trzech innych zabili Makora, Sindo i jeden z Makalolosów, którzy wszyscy trzej mieli broń palną.

Kryjąc się za koźmi, młodzi strzelcy nabili broń na nowo, i znowu czterech Matabelesów padło trupem. Gdyby napastnicy mogli byli zbliżyć się do tych strzelców, byłiby im dali rady natychmiast, ale Makalolosy stali murem przed nimi. Dzięki puklerzom, z wielką zręcznością używanym, dzicy walczą zazwyczaj długo ze sobą, zanim nastąpić może ciężkie jakie zranienie. Ale wcale

inaczej rzecz się miała teraz przy użyciu palnej broni. Każdy wystrzał bez wyjątku obalał jednego nieprzyjaciela. Szeregi Matabelesów poczynaly się szybko przerzedzać. Dumni wojownicy po raz pierwszy dowiadawali się własnym kosztem, że broń palna, którą dotąd gardzili, może się stać strasliwem narzędziem śmierci we w prawnych rękach. Zrozumieli wtedy dopiero błąd popełniony przez zbytne zaufanie we własnej sile, i cofnęli się, pozostawiając na placu trzydziestu zabitych.

Makora tak się ucieszył tē m zwycięstwem, że o mało nie pogonił za wrogami, chcąc ich zgnieść do reszty. Po chwili rozwagi odstąpił jednak od tego zamiaru. W istocie, zwycięstwo jego było tylko chwilowem, a wkrótce kilka tysięcy ludzi mogło znowu wystąpić przeciw niemu i zgnieść go samą przewagą liczby. Wyrzekł się za tē m ściągania i dalej postanowił się cofać.

O zachodzie słońca już całe pokolenie przebyło rzekę z całym dobytkiem i uchodzić zaczęło dalej. Tak więc w skutek przyjaźni swęj dla młodych myśliwych, Makora nie miał gdzie głowy złożyć, nie miał ani dachu ani ojczyzny. Był zbiegiem tropionym przez wroga, a nie mającym przyjaciela, któryby stanął w jego obronie. Pokolenie jego nie było dość liczne i silne, aby mogło poszanowanie wzbudzać, nie mogło więc liczyć na gościnne przyjęcie u innych plemion, skoro te się dowiedzą, że ich ściga potężny Moselekatse. Groził im nawet rabunek od każdego mocniejszego pokolenia, któreby się zlakomiło na trzody zbiegów i chciało zasłużyć na łaskę potężnego ich wroga.

Myśliwi gorzko wyrzucali sobie nieszczęście, jakie spadło na poczciwych Makalolosów, ale Makora nie mniej gorzko tylko tego żałował, że nie mógł być w niczē m pomocnym swym białym przyjaciołom. W walce padło także sześciu Makalolosów, ciała ich przeniesiono na drugi brzeg rzeki i pogrzebiono starannie w nocy. Polegli Matabelesowie pozostawieni byli na pastwę dzikich zwierząt. Makora opowiadał swym przyjaciołom, że Matabelesowie nie grzebią nigdy swych zmarłych, i że zazwyczaj dzieci wywłóczają ciała zmarłych rodziców za wioskę i porzucają w polu, pozostawiając resztę pogrzebowych starań hyenom i sępom.

#### XXXIV.

Szlachetność Makory i jego ludu.

Nazajutrz rano liczne gromady wojowników Moselekatsego zjawiły się na przeciwnym brzegu rzeki. Wiemy już, że kobiety, dzieci i trzody wysłano przodem, a prawie wszyscy mężczyźni pozostali, aby bronić wrogom przeprawy przez rzekę

i jeżeli się uda, zabezpieczyć sobie odwrót na dzień następny.

Buszman Facetan miał powierzonych sobie kilkanaście wołów bogato ładownych. Ważność tego obowiązku pocieszała go trochę w zgryzocie, jaką uczuwał z powodu, że panowie jego musieli pozostać u przeprawy z takim sługą niezdarnym, jak Kongo, który mógł jedynie wprowadzić ich jeszcze w kłopot zamiast być im jakąkolwiek pomocą. Młodzi myśliwi mieli więcej strzelb zabranych z domu, w zapasie, obrócz ulubionych własnych, dla zmiany na wszelki wypadek. Teraz dobyto tę broń i opatrzono starannie. O świcie Matabelesowie zaczęli się przeprować.

Gnani obawą gniewu swego władcy, gdyby ich mógł posądzić o tchórzostwo, weszli odważnie w rzekę. Kilku pierwszych o mało nie utonęło, ale to wcale nie ostudziło zapału innych. Jak szaleni zeskakiwali z brzegu w wodę, która im dochodziła do ramion. Jedyne miejsce przystępne z przeciwniej strony było jakby małym wąwozem, zaledwo dziesięciostopowej szerokości. Dostęp ten już sam z siebie był trudnym, a tem trudniejszym przy jakiejkolwiek obronie. Ale Matabelesowie gotowi byli na wszystko. Szybko przebywszy rzekę rzucili się do owego wąwozu, ustawiając się po sześciu rzędem.

Makora, doskonale oceniając wartość swego stanowiska, zachęcał swoich ludzi do wytrwania. Ani jeden z pierwszych dwunastu wrogów, którzy się rzucili do owego wąwozu, nie zdołał wdrzeć się na brzeg śliski. Dla braku miejsca, nie mogli użyć ani tarcz ani toporów; rzeka chyżo uniosła ich zwłoki.

Nasi myśliwi strzelali do tych, których nie mogli osiągnąć Makalolosowie, broniący wybrzeża. W dziesięć minut wróg już się przekonał, że popełnił nową pomyłkę, i że niepodobna mu będzie przebyć rzekę przy takiej obronie jej przeciwnego brzegu. Cofnął się więc, wydając nieludzkie wycia, dysząc zemstą i wściekłym gniewem. W tem drugim starciu, tylko pięciu Makalolosów było ranionych.

Wiedząc dobrze, jaka jest wartość tego stanowiska, Makora postanowił trzymać się na niem pomy, aż znaczna część pokolenia jego zdoła odejść dość daleko, aby się nie obawiało natychmiastowej napaści.

Przez kilka godzin, wymieniano z dwóch brzegów rzeki groźby i zniewagi! wzajemne wszelkiego rodzaju, stojąc na przeciw siebie i zarzucając sobie wzajem tchórzostwo.

Nareszcie Makora i jego wojownicy postanowili oddalić się, i pójść za poprzednią gromadką,

ale trzeba było użyć podstępny, aby jak najdłużej zatrzymać wroga na przeciwnym brzegu.

Henryk pomyślał chwilę i rzekł do Makory:

— Odejdź z twoimi wojownikami, których i tak nie widać z poza drzew, ale my czterej mamy konie i możemy uciec prędkiej; zostaniemy tu przeto i pokazując się ciągle Matabelesom, utrzymamy ich tak długo, jak będzie trzeba, w mniemaniu, że wy wszyscy tu jesteście.

Rada była dobra, Makora zabrał się do jej wykonania, gdy William rzekł:

— Czekajcie, nie odchódźcie, dopóki ja nie wypróbuję na nieprzyjacielu doniosłości mojej strzelby. Sądzę, że kula dosięgnie tamtej gromady. Sam świst kuli wystarczy do przekonania tych łotrów, że tu jesteśmy i nie pozwoli im domyśleć się waszego odejścia.

Tak mówiąc, William podsunął się pełzając na wybrzeże i wzięwszy na cel Matabelesa, olbrzyma jakiegoś, dał ognia. Czarny ryknął jak zwierzę, podskoczył w górę i padł martwy. Jego towarzysze ukryli się w krzakach, obawiając się drugiej kuli. W tejsze samej chwili Makalolosowie uchodzili skrycie a śpiesznie, pod osłoną drzew, zostawiając u przeprawy tylko Makorę, Sinda, trzech innych z pomiędzy siebie, posiadających konie, i czterech białych myśliwych.

Więcej niż przez godzinę ta nieliczna straż tylna pilnowała brzegu, bez żadnego usiłowania ze strony wroga, ku przebyciu rzeki. Matabelesowie ukryli się tak, że ich wcale widać nie było. Wtedy Makora, obawiając się, czy nie poszli innym brodem, postanowił ruszyć w drogę.

Rozwieszono tu i owdzie kilka sztuk ubrania, aby jeszcze zdaleka udawały obecność ludzi w tém miejscu, William raz ostatni wystrzelił, potem pełzając skrycie poza drzewami wszyscy pięciu dosiedli koni i popędzili co sił starczyło.

O południu złączyli się z Makalolosami, którzy rano ich opuścili. W godzinę później dogonili kobiety i dzieci. Ponieważ było już późno i znowu była rzeka w pobliżu, przeto Makora postanowił stanąć na nocleg.

Wódz Makora miał szczęście, że się złączył ze swoimi. W dziesięć minut byłoby już za późno. Zaledwie się zatrzymano na nocleg, gdy spostrzeżono w pobliżu gromadę Matabelesów, ze stu mniej więcej wojowników złożoną. Gdyby nie było jeszcze Makory i jego towarzyszy, nieprzyjaciel byłby wymordował natychmiast bezbronną część pokolenia.

Z kierunku, w którym postępowała ta gromada, można było odgadnąć, że przebyła rzekę powyżej nieco że w celu wymordowania kobiet i dzieci w nieobecności wojowników. Ale teraz, nie

czując się na siłach, nieprzyjaciel trzymał się w znacznej odległości. Biali myśliwi, uważając, że to było jeszcze za blisko, skoczyli na koń i podbiegłszy, rozpędzili całą gromadę posyłając w tę stronę kilka celnych kulek.

Wróciwszy do obozu, zastali Makorę ciężko przygnębionego. Był pewien ostatecznej zguby swego pokolenia i swojej własnej.

William spytał o przyczynę tej zdwojonej obawy, przypominając wodzowi, że dotąd był zwyciężkim we wszystkich spotkaniach. Makora odpowiedział, iż Moselekates wysłał już z pewnością przeciw niemu kilka oddziałów swego wojska. Że te oddziały wkrótce połączywszy się z sobą, muszą go pochwycić i nie darują życia nikomu, ani samemu wodzowi, ani jego białym przyjaciołom, przez zemstę za ciężkie poniesione straty.

Makora zawiadomił swych przyjaciół, że żaden z wojowników Moselekatesa nie będzie śmiał wrócić do króla potem co zaszło, gdyż wszyscy byliby niechybnie na śmierć skazani. Wszyscy są o tém przekonani, a to przekonanie popchnie ich do najstraszniejszych ostateczności, dla pomszczenia strat poniesionych.

— Pozostaje mi tylko — mówił Makora — jeden sposób ocalenia moich poddanych, a to poświęcić samego siebie. Kierując się śpiesznie na zachód, moi ludzie potrafią jeszcze ująć przed temi psami Matabelesami, i dostać się do swego własnego narodu, nad którym panuje wielki król Sebetoan. Ja nie mogę im towarzyszyć, — dodał Makora wzdychając.

(D. c. n.).

### Łamigłówa zgłoskowa.

(Od Marylki dla Wandzi K.).

Z następujących zgłosek: bes—ce—cej—da—em—i—i—i—kot—kro—le—le—lon—lu—mi—rod—se—skop—skra—we—zy—zyz— ułożyć wyrazy: 1. Przyrząd optyczny. 2. Bogini egipska. 3. Duża wyspa. 4. Zwierzę domowe. 5. Przedmiot błyszczący. 6. Imię starożytne. 7. Zabawa. 8. Przysłówek. 9. Wyspa azjatycka. 10. Wada oka. Początkowe i końcowe litery, odczytane od góry do dołu, utworzą nazwisko poety polskiego i tytuł jego poematu.

### Łamigłówa głoskowa.

(Władysław O.).

t  
k r  
w w z  
e c a e  
a j o e i  
k i o o e d

Z tych liter rozsypanych ułożyć znane przysłowie.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 27-go.

#### Szarady:

Na — u — ka.

#### Łamigłówa zgłoskowej:

Kradzież  
Opium  
Niesiecki  
Odyniec  
Perth  
Niebo  
Izasałw  
Ceres  
Kadłubek  
Armada

Konopnicka — Żmichowska.

### Odpowiedzi od Redakcyi.

**Anulca J. w Niszowcach.** Za wyborne zagadki serdecznie dziękujemy, ale współpracownictwo takich miłych korespondentów nietylko w tym dziale jest dla nas pożądane. Wszak mieliśmy przyobiecany opis egzaminów publicznych? Oczekujemy na spełnienie obietnicy.

**Aleksandrze Z. w Siole Pawłowem.** Rozwiązanie zagadki nadeszło za późno, więc tylko tu zaznaczyć możemy, iż jest bardzo dobrze opracowane i zasługiwało na odznaczenie. Liścik tak starannie i tak dobrą polszczyzną napisany, odczytaliśmy z wielką przyjemnością, cieszymy się nadzieją bliższego poznania kochanej korespondentki, gdy przybędzie dla ukończenia nauk do Warszawy.

**Antoniemu Władysławowi.** Nie wszystkie zagadki są według prawideł ułożone, niektóre więc tylko mogą być wydrukowane.



# WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



## POZORY MYŁĄ.

Raz o ślicznym letnim dzionku  
Tatuś-kogut, Mama-kurka,  
W żółtych dziattek liczném gronku,  
Wyszli przejść się wśród podwórka.

Urwis Burek, psotnik wielki,  
Patrzył na to z po za płota,  
Dziatwę małą, jak wróbelki,  
Straszyć brała go ochota.

Ale bał się pies koguta,  
Który wielką miał czuprynę,  
I ostrogi miał u buta,  
I straszliwie gęstą minę!

Wtém ten kogut tęgiej miny  
Jakoś trochę się oddali  
Za ziarnkami dla rodziny,  
Które ludzie rozsypali.

— Otóż będę miał uciechę!  
Warknie Burek, skoczy z kątką,  
Najeżywszy grzbiet, jak strzechę  
I już pędzi na kurczątką.

One w krzyk! więc Mama-kurka,  
Psa ujrawszy, żwawo skoczy,  
Najeżywszy także piórka,  
Oстрыm dziobem godząc w oczy!...

Uciekł... ogon podtuliwszy,  
Wystraszony urwis Burek,  
Postanowił być uczciwszy,  
Nie zaczepiać biednych kurek.

A gdy dzieci sam miał z czasem,  
I udzielał im nauki,  
Tak im często mrucał basem:  
— Moje drogie Kurty, Kruki!

Cytry, Żolki i Azory!  
Pamiętajcie, bardzo proszę,  
Nie spuszczać się na pozory,  
I szanować mi kokosze!

Czasem ktoś z pozorem zucha,  
Bohatera wart z postawy,  
Mniej dokuczy niżli mucha,  
Kiedy broni dobrej sprawy.

Azet.

## PRZYGODY RODZINY MYSZEK.

(naśladowane).

(Dalszy ciąg).

W piwnicy jest mnóstwo ciekawych rzeczy, oto na przykład pod ścianą stoi długi rząd butelek próżnych.

— Co to takiego? — mówi mała myszka i drapie się na butelkę, zagląda do środka — uf! jak tam czarno, jak głęboko! poco ja tam pójde—i złazi roztropnie na ziemię.

— A to dziwny jakiś budynek — rzecz druga, włączając na latarnią, stojącą obok beczki — coś tam pachnie, trzeba by zobaczyć. Drzwi zamknięte, ale u góry jest otwór w sam raz dobry dla mnie. I spuszcza się w głąb latarni.

— Wyborna rzecz—powiada nasza myszka, gryząc ze smakiem świecę łojową— chodźcie prędzej, braciszki, siostrzyczki, wszyscy się najemy, jest tu tego dosyć.

Ale myszki nie bardzo są głodne i myślą sobie, że lepiej poczekać i zobaczyć wprzód, jakim sposobem braciszek wydobędzie się z tego budynku. Niestety! nie łatwa to sprawa, szkło jest niezmiernie śliskie i nieboraczek nie może się wdrapać na gładką taflę, co chwyci ją pazurkami, to i spadnie zaraz, widzi nakoniec z przerażeniem, że jest uwięziony.

— Słoninka! słoninka! taka pachnąca! — woła znów inna, mała myszka.

— Gdzie, gdzie?—odzywają się ciekawe głosiki ze wszystkich stron.

— Tu; patrzcie, w tym małym domeczku drucianym.

— Stójcie! —przerывa najstarszy braciszek — to pewnie pułapka; pamiętajcie, co mateczka mówiła?

— Prawda, prawda — mówią wszystkie myszki, spuszczając noski—wracajmy do mamy, bo już i tak aż dwa nieszczęścia nas dziś spotkały.

Mama myszka była w rozpacz, gdy się dowiedziała, że i synek jej padł ofiarą swjej nieroztropności, biedaczka przechorowała podobno ciężko ten dzień, w którym straciła dwoje dzieci.

### II.

Nazajutrz, myszki poszły znowu na wycieczkę. Dwie siostrzyczki spostrzegły w górze okienko, przez które światło wpadało do pi-

wnicy, a że były ciekawe, więc się tam wdrapały po ścianie i zajrzały przez kratę.

— Tam musi być bardzo ładnie na dworze — powiedziała jedna do drugiej—chodźmy się przebiegać i obaczyć trochę świata.

I nie namyślając się długo, dwie myszki wysunęły się przez okienko, i puściły się śmiało przez sam środek ulicy ogrodowej. Maciuś leżał w pobliżu na ławeczce, właśnie się ze snu przebudził, poziewał, przeciągał się leniwie, aż tu słyszy leciutki szelest w trawie, nastawia uszy, powstaje, i jednym susem rzuca się... na biedną myszeczkę; już ją pochwycił w straszne swe pazury, już po niej!

Druga siostrzyczka przerażona, ledwo żywa, umyka w inną stronę, pędzi, skacze, nie patrzy przed siebie, ani się ogląda, już przebiegła cały ogród warzywny, przysiadła na chwileczkę pod płotem, odetchnęła i bieży dalej, przez pole, przez łączkę, aż w końcu zatrzymała się pod lasem.

Jakże tu ślicznie! cicho, spokojnie, wietrzyk tylko szeleszcze liśćmi na drzewkach, i ptaszęta świegocą na gałązkach. Ale biedna myszka nie może jeszcze przyjść do siebie, ciągle jej się zdaje, że widzi straszliwego zwierza, i duże oczy żółte, błyszczące i nastroszone wąsiska. Niebożątko takie zmęczone, że nie może już biedz dalej, więc wsuwa się w zacisną kryjówkę u stóp dużego drzewa i zasypia.

Przebudziwszy się, myszka zaczęła się oglądać na wszystkie strony ze zdziwieniem, nie mogła pojąć z razu, jakim sposobem dostała się do lasu. Ale po chwili przypomniała sobie wszystko, zdrząła na myśl o strasznej przygodzie siostrzyczki i zasunęła się głębiej jeszcze w swoją kryjówkę. Przegryzła parę listeczków zielonych na śniadanie i przez kilka dni z rzędu nic innego nie jadła.

Nakoniec głód jej tak dokuczył, że pewnego rana odważyła się wybiec w pole. Znalazła kłosek zbożowy i zaczęła gryść ziarneczka z wielkim smakiem. A w tém posłyszała jakiś szelest nad sobą i w tejsze samej chwili coś ciężkiego spadło jej nagle na głowę. Odurzona i przestraszona, strzepnęła z siebie tę zawadę, obejrzała się i spostrzegła malutką myszkę kasztanową, która zaczęła uciekać przed nią. Aż tu tymczasem druga podobna myszka, troszeczkę większa, spuściła się z wysokiego źdźbła słomy i zaczęła łącać malutką:

— Nieposłuszne dziecko — mówiła — tyle razy ci powtarzałam, żebyś nigdy bez pozwo-

lenia nie wychodziła z gniazdka. Widzisz, przestraszyłaś tylko bez potrzeby tę myszkę domową. Idź prędzej do łóżeczka i siedź spokojnie. Przykro mi bardzo — dodała myszka uprzejmie, zwracając się naszej znajomej myszki szarzej — że ta roztrzepana moja córeczka tak cię przestraszyła, kochana kuzynko. Czy przynajmniej nie bardzo cię mocno uderzyła? Ale to nic, to przejdzie. Ach, co to za kłopot z temi dziećmi, a jeszcze, jak słuchać nie chcą. Cieszę się jednak, że ten przypadek podał mi sposobność zapoznać się z tobą, kuzyneczko. Wybrałaś się tu zapewne na letnie mieszkanie w nasze strony; a gdzie są twoi rodzice?

— Mama została w domu — odrzekła myszka domowa — a ja przed kilku dniami tu przybyłam niespodzianie, uciekając od straszego nieprzyjaciela. Teraz obawiam się powracać, bo tam takie okropne niebezpieczeństwa spotykałam na każdym kroku. Tu jakoś bezpieczniej jest i spokojniej.

(D. n.).

### Pudel używany do posyłek.

Koło moich okien przechodzi co rano duży biały pudel z koszykiem w zębach. Pudel jest zawsze czysto umyty, a w koszyku jest kartka, na której oczywiście musi być napisane, po co się posyła tego posłańca. Ma on też zawsze piękny czerwony krawat na szyi. Idzie prosto do kupca na rogu ulicy i drzwi łapą sobie otwiera. Po chwili wychodzi na powrót i niesie w koszyku coś w małych paczkach papierowych, albo jabłka, albo pomarańcze, albo świece. Często i inne psy przybliżają się do tego pudła, ale on nigdy się wtedy z nimi nie bawi, choć mu pewno na ochocie do zabawy nie zbywa. Omija także ludzi i wyraźnie cały jest zajęty spełnieniem powierzonego mu obowiązku.

### JÓZIA W KRAINIE LALEK,

wyjątki z listów małej podróźniczki.

Czytelnicy nasi pamiętają zapewne, że pewna ośmioletnia panienska, imieniem Józia, pojechałszy z rodzicami do Japonii, gdzie jej Tatko ma posadę, pisywała do cioci swój listy, a ciocia treść tych listów przysyłała do naszego Pisma. Ale się to musiało przerwać, gdy Józia przestała nagle pisać z powodu choroby Tatki, o którego i ona i Mama nie-

zmiernie były niespokojne tak, że ani pomyślały o pisaniu. Jednak gdy Tatka wyzdrowiał, Józia zaczęła pisywać znowu do cioci, a ciocia znowu przysyłała do Wieczorów treść jej listów. Józia zapewnia przytém ciocię, że tak się gwałtownie zabrała do nauki, iż niezadługo można będzie całe jej listy, nie tylko ich treść, w Wieczorach drukować.

Pewnego dnia Tatko i pan Poncet zapowiedzieli, że na cały dzień uwolnili się od swoich zajęć, aby wszyscy mogli pojechać do Yeddo, dla zwiedzenia choć pobieżnego stolicy Japonii. Panie dziwiły się, dla czego mają zacząć od zwiedzenia odległego Yeddo, zamiast samejże Yokohamy, ale panowie odpowiedzieli, że to, co jest w pobliżu, można widzieć każdego czasu, a do dalszego Yeddo pojechać nie zawsze zdarzyć się może sposobność i czas. Zatem powozy zaszły: panie i panienki wsiadły do europejskiego ładnego koczyka, zaprężonego w dwa małe ale silne konie własne państwa Poncetów; panowie wsiedli każdy do maleńkiego wózka japońskiego, zaprężonego każdy w dwóch Ajnotów, to jest ludzi szybkobiegaczy, którzy w Japonii konie zastępują.

Józia rozglądała się ciekawie, a Matylda objaśniała jej wszystko. Nie było przecież widać z początku nic bardzo ciekawego, bo przejeżdżano europejską dzielnicę, świeżo zbudowaną. Ulica była prosta, brukowana podłużnymi kamieniami. Niezadługo skręcono raz i drugi i wjechało w dziwną nadziwnymi ulicę, na której widok Józii mało oczy z głowy nie wyskoczyły: ulica ta była szeroka i prosta także, a tak czysta, że głązy na bruku aż świeciły czystością; po obu jej stronach stały małe białe domki bez okien i bez żadnego wejścia na pozor. Dachy ich pokryte były cienką słomą ryżową, jak objaśniła Matylda i wyglądały zupełnie tak, jakby ułożone były z naszych miotełek do czyszczenia sukien. Ściany zaś były istotnie z papieru, który trochę przezroczyście wyglądał, jak to bywa na owych papierowych dużych latarniach i gwiazdach, wewnątrz oświetlonych, jakie noszą u nas chłopcy, biegający z jasełkami po świętach Bożego Narodzenia. Na tym papierze odznaczały się kratki jakieś, a Matylda powiedziała, że to są kratki zrobione z trzciny cienkiej bambusowej, a na tych kratkach nakleja się ów papier.

Szeregi takich domków, bez śladu drzwi lub okien stały wzdłuż milczącej, pustej zu-

pełnie ulicy, bardzo podobne do papierowych pudełek, garścią cieniutkiéj słomki nakrytych. Było jeszcze bardzo rano, gdyż śpieszono się, aby zdążyć na kolej przed odejściem pociągu do Yeddo, i dla tego jak powiedziała Matyllda miasto jeszcze spało, nie pootwierawszy drzwi ani okien. Z boku przy każdym domku stało ogromne naczynie drewniane, do bardzo głębokiej balii podobne, do połowy napełnione wodą czystą; a były to japońskie wanny do codziennych zimnych kąpielí.

Właśnie Józia głośno żałować zaczęła, że jechano zbyt ranną godziną, bo była ciekawa niezmiernie, którędy się do japońskich domków wchodzi, gdy w tém Matyllda krzyknęła, że już otwierają i wskazała na jeden z domków. Istotnie w domku tym zaczęła poruszać się jeden kawałek ściany, jakby sam przez się i zaraz znikł długi pas w ścianie od ziemi do dachu, tak właśnie, jakby kto jedno skrzydło parawanu z pomiędzy innych wyjął; po chwili zniknęło następne, trzecie i czwarte takie niby skrzydło, i dopiero można było wyraźnie widzieć, że to Japończyk stary wyjmował tak z największą łatwością ze środka jeden kawałek ściany po drugim i odnosił je w głąb domu...

Podróźni minęli tymczasem ten dom, ale już i inne tu i owdzie zaczynały się tak samo otwierać, aż gdy ukazał się taki, w którym już prawie wcale trzech ścian frontowych nie było, a dach słomiany wspierał się tylko na bambusowych słupkach, dopiero Józia aż krzyknęła z podziwu i zachwycenia. Ujrzała całe wnętrze domu tego zastawione błyszczącymi i barwnymi stosami czegoś dziwnego, na stołach, półkach i podłodze, co wyglądało wielce na jakieś precudownie piękne cacka i zabawki, bo te domy były sklepami, jak powiedziała Matyllda. Cóżby Józia była dała za to, aby się można było zatrzymać, wysiąść i rozejrzeć po tym i innych podobnych sklepach! Ale niemożna było zatrzymywać się, gdyż należało pośpieszać za chyżemi wózkami, w których panowie jechali.

A tymczasem tu i owdzie z domków wychodzili ludzie, dorośli i mali, i wskakiwali w głębokie balie owe, w zimną wodę, myjąc się, czesząc i pluszcząc, a później, z wody wyszedłszy, ubierali się, stojąc w owym domku bez ścian. Odwracając oczy od tego widoku, Józia oświadczyła, że teraz już nic a nic wcale Japończy-

ków nie rozumie, gdyż dotąd uważała ich za bardzo i a bardzo mądrych uczonych i przemyślnych, a teraz zdaje się, że oni są chyba zupełnie dzicy, albo przez pół chociaż, tak jak Ajnoci-biegacze, bo jakżeby ludzie cywilizowani mogli ubierać się, rozbierać i kąpać na ulicy, przy wszystkich przechodniach!

(D. c. n.).

SZARADA.

Pierwsze jest litera, a drugie i trzecie To szufladka z której zawartość wyjmiecie Szafka lub komoda, w której nic już niema! Wszystko dosyć smaczne gdy nadejdzie zima.

Łamigłówka kryształowa.

(Antoś H.).

1. Litera.
2. Dużo drzew.
3. Przedmiot używany zimą.
4. . . . .
5. Imię.
6. Roślina.
7. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwę znanego i powszechnie lubionego ptaszka.

Rozwiązania do Nr. 27-go

Zagadki:

Chłopczyk.

Łamigłówki zgłoskowej:

- Midas
- Ocet
- Niża
- men
- ski
- Sokrates
- Zapał
- Kamczatka
- Ojców